Nr 10. Lwów w październiku 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna:
5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

JELEŃ.

Napisał
WŁADYSŁAW SPAUSTA.

VI.

(Giez nosowy. — Nicień. — Znaczenie i przyszłość parków jelenich.)

Trzebaby tęgiego specyalisty, aby się wyznał w tym ogromie patologii jeleniej, jaka się demonstruje oczom zrozpaczonego hodowcy w bardzo wielu rewirach na zachodzie. Z każdym rokiem badania ściślejsze odkrywają jakiegoś nowego wroga, o którym dawne czasy nic nie wiedziały. Częstokroć wróg to niepozorny, nieprzystępny dla powierzchownej obserwacyi, nurtujący jednak tem pewniej machinę życiową powolnem lecz ustawicznem działaniem. Wiele z plag zwierzostanów jelenia nie są li tylko im właściwe, bo grasują także pośród zwierzostanów innych, dlatego też choćby bezpretensyonalna pogadanka w zakresie tej łowieckiej weterynarji ma i dla nas już aktywalną doniosłość, dotykając przedmiotu spotykanego u naszych zwierzostanów, a szczególniej u sarn dosyć często.

Motylica, czerwonka i wąglik w rozmaitych formach są to nazbyt znane przypadłości dziesiątkujące zwierzostany jeleni, abym ich omawianiem miał rozszerzać niniejszą rozprawę. Miarę klęski dopełnia mnóstwo mniej znanych chorób, a o niektórych z nich pragnę tu wspomnieć. Szczególnie smutnego rozgłosu nabyła od dawnych czasów niezytowa afektacya przewodów oddechowych, a przyczyną tejże jest nagromadzenie się w krtani larw t. z. gzu jeleniowego (Pharyngomia picta lub Cephalomyia rufibarbis, Rachenbremse). Pharyngomia, jako owad skończony, jest to bardzo piękna 14 mm. długa mucha, barwy siwoniebieskiej lub srebrnej o przeźroczych, brunatno żyłkowanych skrzy-

dełkach, podczas gdy gatunek Cephalomyia jest muchą nieco większą, której odmiany wyszukują sobie na swe larwy rozmaitych gospodarzy w pośród zwierząt przeżuwających. I tak Cephalomyia rufibarbis napada jelenie, C. stimulator sarny, a C. ovis owce domowe. Wspomiane pasożyty grasują częściej w zwierzostanach, jakby to się zdawać mogło, a szczególniej ulega im młodzież obu płci, jako w ogólności mniej odporna na wszelkie przypadłości.

Pomor lokalny zwierzostanów sarnich należy i u nas do wypadków nierzadkich. Zazwyczaj przyczyną tego ma być motylica, i tak jest w istocie w bardzo wielu razach, jednak niemniej częściej ruina zwierzostanów powodowaną jest zbytnią rozmnożą tego pasożyta, o czem sekcya nawet oku profana może dać nieomylne wyjaśnienie Giez sam przez się tylko w wyjątkowych razach może się stać przyczyną śmierci, osłabiając jednak długiem cierpieniem odporność ustrojową, przy współdziałaniu innych wrogich wpływów, staje się bardzo niebezpiecznym pośrednikiem ruiny zwierzostanu.

W suchych latach grasuje ten pasożyt w straszny sposób pomiędzy owcami. Kultywując przed laty ten prastary Abrahamów dobytek w dość pokaźnej mierze, póki motylica i inne wygodami siedliska spowodowane naleciałości, nie położyły mu kresów ostatecznych, miałem sposobność napatrzyć się do woli zachowaniu się gza wobec stada owiec. Zazwyczaj w porze letniej, a wyjątkowo już w ciepłym dniu majowym, pojawiają się nienawistne te owady, sprawiające panikę wśród stada. Stado się kupi, główki zwisają się ku ziemi, zwierzęta tupią nogami opędzając się według możności, lecz nie każdej owcy sztuka się udaje. Rączym kołem mucha uderza o nozdrze i w tej chwili wyrzuca swe jaja, a raczej już embryony na nozdrza rzuciła. Ponieważ wyrzucanie płodu odbywa się w locie nie łatwo dopatrzyć samego aktu, jednak wielkie zaniepokojenie zwierzęcia, gdy posłyszy tuż koło siebie brzęczenie owadu, niemniej w kilka dni pojawiający się stan nieżytowy błony śluzowej nosa, wskazuje, że nieprzyjemny lokator zakwaterował się w tem miejscu. Jedna mucha wyrzuca 20—40 embryonów, a zależy to od temperamentu zwierzęcia czyli uda się innym muchom powtórzyć to samo na nieszczęsnym nosie jednego i tego samego zwierzęcia. Czem zwierz ruchliwszy i obrotniejszy, tem zmniejsza się możliwość zakażeń, stąd też pochodzi różnostopniowość zakażania zwierząt jednej i tej samej trzody, pomiędzy którą pojedyncze sztuki wcale gza nie dopuszczają, gdy inne cierpią dotkliwie, a nawet śmiercią kończą swe męki. Osadzone na nozdrzach larwy zapomocą 2 haczyków, na końcu ciała, wspinają się coraz wyżej w jamie nosowej, drażnią błonę i powodują kaszel i krząkanie, zdradzające nieomylnie zakażenie zwierza. W miarę wzrostu pasożyt sprawia coraz większe dolegliwości, a posuwając się coraz głębiej i zbliżając się do krtani na straszne męki skazuje zwierza. Przy sekcyi można tam znaleść larwy w rozmaitych stadjach rozwoju, stąd też w pomyślnym przebiegu rzeczy zwierzę tylko zwolna pozbywa się swego trapiciela. Gdy tylko gospodarz nie zostanie zamęczonym, larwy dostatecznie wyrośnięte, po 9 miesiącach pobytu w ciele nie mając już czego siedzieć w organiźmie, dostają się na zewnątrz przez krząkanie i kaszel, wylatują, bądź nozdrzem, bądź pyskiem na ziemię, w której w stanie poczwarki pozostają przez 6 tygodni, póki nie rozwinie się owad doskonały. Śmierć zwierzęcia może nastąpić, jak już wspomniałem, wskutek wycieńczenia cierpieniem, nastąpić jednak musi, jeżeli nadzwyczaj obfite nagromadzenie larw wywołało takie obrzmienie tkanin i błon, że przejście dojrzałych już larw na zewnątrz stało się niemożliwem. W ten sam zapewne sposób opadają odmiany gzu zwierzostany jeleni i sarn i nie ma rozumnego powodu, aby sądzić inaczej lub wysilać się na tworzenie nowych hypotez co do sposobu wkroczenia pasożyta w ciało zwierzęcia, tak jak to czynią w ostatnich czasach niezbyt ku temu powołani. Można być bardzo dobrym „forstmeistrem“, ale można się przytem zabłąkać — grubo, gdy człeka opanuje mania nowych odkryć na polu patologii, zbudowana jedynie na widzimisię. Na zjeździe w Bronitz w Czechach w 1893 r (III. J. Z. 1893 S. 389) wygłosił tam jeden z zielonego bractwa zdanie, że jaja gzu dostają się z paszą w ustrój zwierzęcia, a inny znów uczestnik zjazdu (S. 389) zidentyfikował gza z innym rodzajem muchy, której larwy żyją pod skórą (Hypoderma). Są to tak zwane przez lud pędraki, bardzo często opadające również i bydło, a w niektórych latach tak masalnie grasujący pasożyt, że cały grzbiet zwierzęcia wygląda jak łąka zasiana krzewinami, gdyż larwy w miarę wzrostu coraz większą tworzą wypukłość na skórze, a wreszcie pod wiosnę ukończywszy wzrost wydobywają się na zewnątrz z wypukłości, wielkości jaja gołębiego i dalszą przemianę w ziemi odbywają. Mucha powstała z tych larw, niema żadnego podobieństwa do gzu nosowego, jest kosmata jak trzmiel, wierzch ciała czarnożółto przepasany. Widocznie, że cały, prosty nadzwyczaj proces dostawania się larw gzu nosowego do ciała jest za nadto pojedyńczy dla spekulatywnego ducha naszych czasów, to też usilnem jest staraniem, aby o ile możności wytworzyć bałamutną jakąś kombinacyę, której maleńką próbkę spotykamy w *Oestr. Forst- und Jagdzeitung* 1896 nr. 17, p. 131. „Nach meinen Beobachtungen soll jedoch die Eierablage in die Haut des Rückkens stattfinden, wie bei den Hautbremsen, und die Larven dann eine Wanderung durch den Körper antretten bis hin in die Rachenhöhle angelangt ist.

Przedewszystkiem „Hautbremse“ t. z. bydleń nie składa jajek w skórę, ale na sierć, skąd wylęgłe rupie wwiercają się dopiero w skórę. Jeżeli zatem giez nosowy w ten sam sposób jak bydleń ma postępować, nie może być mowy o składaniu jaj w skórę na grzbiecie zwierzęcia. Ale mniejsza o to, jak on tam wlazł tak wlazł, ale cóżto za prawdziwie odysseuszowa peregrynacya przedstawia się dalej, dopuszczalna chyba w martwym klocu drzewa, ale nie pośród subtelnej struktury organów, które wędrująca rupia koniecznieby w swym pochodzie przedziurawić musiała chcąc się dostać do miejsc, gdzie ją potem w masalnem nagromadzeniu spotykamy. Gdyby tak było wreszcie, gdyby organizm nie uległ takiej dewastacyi pasożytu nie wymagającego do rozpoznania wielkich przyborów, bo to nie trychina, to nie żaden drobniutki organizm, ale larwa muchy wielkiej, to z pewnością nie byłoby już dysputy co do sposobu jego wtargnięcia, pouczyłyby nas o tem dokumentnie, jeżeli nie lekcye dyletantów, to badawcze prace specyalistów. Ponieważ tak bydleń, (który również napada i zwierzostany), jako też giez ostateczną dojrzałość w ziemi osiąga, przyczyniają się wszystkie zwierzęta dybiące za robactwem w ziemi do wytępienia tych pasożytów. Tu najokazalej spełnia rolę każda świnia. W naszych kniejach, gdzie dzik lub przynajmniej świnia swojska nieustannie ryje ziemię leśną tak, że całe jej połacie jakby zradlone wyglądają, błogi wpływ tego jest widoczny, a pasożyt nie występuje w takiej mierze, jak w niektórych kniejach na zachodzie, gdzie oprócz zwierzyny rozmnażanej nic innego się nie znachodzi, gdzie dzik należy już do historyi, a świni

wstęp wzbroniony. Dodatnią w tym kierunku rolę dzika uwidoczniają rewiry ogrodzone, w których pospołu z jeleniem i sarną chowa się i zwierz czarny. Doświadczeniem tym pouczeni doradzają przeto leśnicy i myśliwi zrozpaczeni utrzymywanie przez lato bodaj świń pośród zwierzostanów „am besten Bakonyer“, bo pocieszając się utrzymuje doradzca, że „zu grosse Kosten werden sie nicht verursachen, ein Stück kostet 10—14 fl. (Jll J. Z. Nr. 32, P. 376, 1893) w każdym zatem razie jest to „ein billiges Vergnügen.“

Krom szkody, jaką giez nosowy wyrządza w zwierzostanach, bezpośrednio wywoływać ma spowodowane nim cierpienie dalsze szkodliwe następstwa. Oto zwierz może w zamiarach kuracyjnych, wyrządzać ma straszne szkody w lasach, jeleń przeważnie okorowaniem, sarna ogryzaniem. Kwestya ta nabrała szczególnej żywotności w ostatuich czasach i niemal nie schodzi z porządku dziennego obrad kół fachowych. Pojawia się taka moc różnorodnych zdań mających zawsze coś za sobą, że wyświetlenie sprawy ponoś nie prędko nastąpi.

go ciele dalszy żywot prowadzi. Ztąd dostają się bądź z wodą, bądź z paszą do żołądka jeleni i sarn i wędrują dalej na miejsce swego przeznaczenia, gdzie zupełną dojrzałość fizyczną osiągają.

Nicień występuje prawdopodobnie o wiele częściej jak by to się zdawać mogło, jednak w rzadkich tylko wypadkach zostaje zdemaskowanym jako przyczyna pomoru lub charłactwa zwierzostanów. W ostatnich czasach plaga ta we wielu miejscach na zachodzie została dokumentnie sprawdzoną, a pomiędzy innymi w r. 1890 uległo jej 40 sztuk sarn i 19 jeleni w państwie Rosmital w Czechach.

Lecz przewróćmy już tę niepocieszną kartę w dziejach współczesnego nam jelenia — złożywszy tutaj li tylko próbkę towaru, powołuję się na specyalną literaturę w tym kierunku, gdzie leżą całe składy utrapień tego szlachetnego zwierzostanu.

O ile mogłem, zwróciłem uwagę na rozmaite błędy, które prawdopodobnie sprowadziły stan rozpaczliwy zmieniając w szpital scenę zamierzonego voluptoiru. Nie dziw, że wobec takiego niepowodzenia znękał się umysł choćby



W zwierzyńcu p, Wintera w Berlinie.
(Patrz artykuł p. W. SPAUSTY p. t. „Jeleń“ w poprzednim numerze str. 141.)

Po kilkudniowych dysputach grona osiwiałych w zawodzie, po przewróceniu całego kramu zdań, podanych obserwacyi, licznych przypuszczeń, żadna strona bodaj połowicznej wiary dla siebie zdobyć nie może, jak zakamieniałe stoją szale wagi, a z zamętu wyobrażeń złowrogo brzmią nadtargane struny harmonii natury. Popsuło się tam wiele w tem państwie, trzeba koniecznie naprawić, ale jak? ale gdzie przyłożyć rękę korektorską, aby do reszty nie zerwać praw odwiecznych w niepojętym gmachu najrozmaitszych czynników?

Niemniej smutną kartę wypełnia w najnowszych czasach t. z. Nicień, robak pasożytny z rodziny Nematodów (Raadwürmer, Strongillus filaria) jako wróg zwierzostanów roślinianych. Nicień pasożyci w tchawicy i w jej rozgałęzieniach, wycieńcza organizm, a przy masowem nagromadzeniu następuje zatkanie przewodów oddechowych i śmierć nieunikniona. W pomyślnym razie robaki po osiągnięciu dojrzałości w ciele zwierzęcia bywają kaszlem wyrzucane na zewnątrz i tu giną obie płci, przedtem jednak samice do 90 mm. dług. wydzielają płód, który prawdopodobnie tak jak motylica wyszukuje sobie jakiegoś gospodarza, w które-

jakiego amatora, opanowało zniechęcenie, a rewir jeleni pozostał może w wielu wypadkach li tylko punktem honoru, o którym nikt jako o rzeczy bardzo drażliwej nie mówił.

Ale wszystko na świecie ma swoje granice, być może, że cierniowa droga doświadczeń w tym kierunku otworzyła dopiero oczy hodowcom, bo wśród zwątpienia dają się słyszeć głosy nadziei z ust najwybitniejszych praktyków i wszechstronnych znawców padają słowa zachęty. Czy tam poprawa jest możebną? czy drogie urządzenia mają pozostać odstraszającym przykładem dla wszystkich, którzyby w zmienionych stosunkach coś nieco tej szlachetnej pasyi poświęcić i mogli i chcieli? Żali szlachetny zwierz po długich latach szpitalnej egzystencyi zaginąć ma na zawsze w kulturnych stosunkach naszych czasów?

Na wszystkie te pytania starałem się sobie dać jakąś odpowiedź, jednak nie mając żadnych ku temu podstaw z praktyki, nie miałbym odwagi intuicyjnych stawiać horoskopów. Gdy jednak mniemanie me popiera zdanie na doświadczeniu oparte, powtarzam skwapliwie „powinno i może być inaczej“ (R. v. Dombrowski: Das Wildpark p. III. 1885) i jest rzeczą honoru myśliwstwa utrzymać szlachetny twór leśnej natury

w późne pokolenia w czasach, gdy mu zabrakło miejsca w wolnej kniei. Na kilkuset stronnicach spisał wytrawny znawca, a wykwintny autor swe poglądy na parki zwierzynne — hojnie rozścielił tam zasób bogatego doświadczenia i skruszył również niejedną kopię w obronie.. ekonomicznej strony takich urządzeń.

Przeczytawszy to dzieło, jakkolwiek zachwianą zostaje nieco wiara w ekonomiczną doniosłość środków zwierzynnych, a w szczególności zwierzostanów jelenich tam utrzymywanych, to jednak urządzenia te występują w oświetleniu autora w ponętnym kształcie, w jakim je wystawić może umysł szerokich poglądów, prawdziwy znawca i fanatyczny wielbiciel przyrody, widząc, że parki zwierzynne są już jedynym szczytem, gdzie w znamiennych stosunkach społeczno-ekonomicznych, zwierzostany jeleni jeszcze prosperować mogą. Oprócz okolic wyjątkowych jeleń na zachodzie stał się niemożliwym w wolnej kniei — albo utrzymanie tych zwierzostanów wymaga tak wielkich ofiar pieniężnych i szykan rozmaitego gatunku, że to wszystko chyba tylko wyjątki znieść mogą do czasu. To też nie dziw, że obeznany ze stanem rzeczy autor zanucił piosnkę przyszłości. patrząc na trudności rosnące z każdym dniem, na rygory coraz to nowsze i na olbrzymie sumy, któremi możni panowie opłacają wilczy apetyt już nietylko poszkodowanych, ale i tych, którzy poszkodowanymi by być mogli. Apetyt jednak rośnie w miarę jedzenia, trudności techniczne w sprawiedliwem oszacowaniu wyrz dzonych szkód prowadzą do ustępstw dla świętego spokoju, durniczki takie demoralizują i wytwarza się potworna spekulacya. Oto sumki spodziewane stanowią pokaźną część renty gruntowej i poczynają grać rolę przy sprzedaży i zamianie parcel gruntowych. Takimi czynnikami powikłana egzystencya zwierzostanów długo trwać nie może, i zbliża się niechybnie chwila, w której i najznaczniejsi i najzapaleńsi kapitulować będą zmuszeni na zawsze. Słowo to brzmi wprawdzie strasznie i niejeden usłyszy w nim rzewny ton pieśni łabędziej, ale w istocie nie wielka to jeszcze groźba i jeżeli tylko nie przewrócą się do gruntu fundamenty, na których zbudowane jest obecne społeczeństwo, łowiectwo zamknie się na ogromnych obszarach, czas wyruguje dawne pojęcia, a przyszłe pokolenia będą się dziwić, że kiedyś inaczej być mogło. Koszt ogrodzeń i gospodarskiego urządzenia parków zwierzynnych na wielką skalę jest w istocie ogromny, ale pojęcie ogromu zależy od osoby, która je ponosi i od stosunków, jakie je wywołują. W chwili obecnej, gdy bodaj pobieżnie przejrzymy się w sumkach, jakie rok rocznie płyną za granicę do kieszeni poszkodowanych, to w wielu wypadkach dziwić się należy cierpliwości administracyi łowieckiej i trudno zrozumieć dlaczego tam dotąd ogrodzeń nie dokonano. Ogrodzenia to jedyny środek radykalny — wszystko inne czego się chwytają gdzieniegdzie chcąc wprowadzić jakiś ład w łowieckim preliminarzu, a mianowicie stale ugodzone remuneracye równie są tylko paliatywami, zwlekającemi chyba nieuniknione przecięcie tej bolączki.

Jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że bardzo wielu nie przypada do smaku łowiectwo parkowe, a już zwierzostany w parkach źle utrzymanych i źle administrowanych mogły zupełnie zdyskredytować praktykę chromającą w każdym kierunku, jednak niezrozumiałym objawem są pioruny, padające na parki zwierzynne ze względów niby to zasadniczych. Oto ma to być szkodliwy zbytek, jakaś parodya stanu natury podtrzymywana środkami, któreby w innych donioślejszych celach użyć się dały. Nie potrzeba się długo rozwodzić, aby udowodnić, że parki zwierzynne nie są niezbędnym warunkiem bytowym kogokolwiek — są zatem bezsprzecznie urządzeniem zbytkowem — lecz cóż. teraz wszystko na świecie do tej kategoryi zaliczyć należy. Gdzież są granice między pojęciem potrzeby i zbytku? Co wczoraj jeszcze może było zbytkiem, dziś staje się potrzebą, coraz dalej sięgająca kultura wprowadza nowe jakieś praktyki, nowe nakłady na uprzyjemnienie i upiększenie sobie życia; wszystko z początku jest zbytkiem, później powszechnieje i staje się utartym zwyczajem, sprężyną coraz dalszego postępu na kulturnem polu. Jeżeli tylko to wszystko, co zbytkiem chwilowo nazywamy, nie gorszy nikogo, i nikomu szkody nie wyrządza, to dlaczegoż patrzeć zawistnem okiem na takie objawy? To darmo — wszyscy parków zwierzynnych posiadać nie możemy — ale nietylko to — wszak i 3-piętrowa kamieniczka nie każdemu przeznaczona, ba nawet 5 centowe kuba jest już strasznym, nigdy nie dającym się osiągnąć zbytkiem w oczach każdego, który przeznaczony jest zrządzeniem kulawego losu na ciumlanie odwróconego cybuszka przez całe życie. Niechaj tylko każdy dąży godziwą drogą do tak zwanego zbytku, a społeczeństwo na tem nie straci, bo to dźwignia kulturna, to tyran opodatkowujący się sam przez się w sposób najwygodniejszy dla ogółu, to ujście wyrównywujące rażące różnice materjalne różnych klas narodu. Więcej zatem godziwego zbytku oby było, a jak najmniej Harpagonów, bo to chyba chwast najniepotrzebniejszy.

Parki zwierzynne stałyby się niezawodnie zbytkiem niegodziwym, bo rodzajem marnotrawstwa, gdyby w zakładaniu i utrzymaniu ich kierowano się modłą przestarzałą, jednak nie zasługują one żadną miarą na taką nazwę przy dzisiejszym sposobie urządzania, gdzie ręka ludzka oddając prawa naturze, cały swój afekt stara się skojarzyć w jednem dziele pięknem, bo w złączeniu potęgi człowieka z prawami przyrody. Urasta ztąd klejnocik, któremu szczególniejszych barw życia dodają wspaniałe zwierzostany. Ogromne obszary lasów, łąk, pól wszystko to zasiane setkami ludzi, wspaniałe gospodarstwa, a nawet przedsiębiorstwa fabryczne ujęto tam w jedną całość izolowaną od reszty świata, gdzie na każdym kroku wśród wysokiej kultury wyziera dobry geniusz wszystkiego co tam żyje wśród przyrody tego pasma ziemi. A tym dobrym geniuszem jest hojna ręka możnego zbytecznika — usilna praca całej falangi ludzi, którzy tam zasługują sobie i byt i zabezpieczenie starości. To nie upokarzająca i upadlająca jałmużna obsypuje swemi dobrodziejstwy maluczkich, tam ogromne sumy płyną w formie zasług, to również coś waży na szali moralności tej kwestyi. A rezultat tego wszystkiego? Upiększenie pasemka ojczystej ziemi, zacieśnienie węzła miłości dla upiększonej spuścizny.

Według stawu grobla, to też aby każdy według możności i upodobania starał się tylko czynem okazać swej macierzy na której go losy posadziły swój afekt gorący — to z pewnością ten poryw kordyalny nie zostałby bez odpowiedzi. Namiętnego uścisku nie rozluźniłyby zachcianki exterminacyjne, nie wysunąłby się z rąk naszych klejnot, od którego cała przyszłość zawisła, gdybyśmy na wzór Nestora uniwersytetu Jagiellońskiego Józefa Brodowicza w serdecznem poczuciu na każdem pasemku ziemi wypisali niezatartemi głoskami czterowiersz, który ten dostojnik nauki umieścił pod wizerunkiem wystawionego przez siebie zakładu klinicznego:

Tu straciłem najdłuższe życia mego lata
Smutki koiła praca, z pracy szła pociecha;
I dla tego nad wszystkie kąty tego świata
Ten kącik zawsze mi się najmilej uśmiecha.

Moralną stroną łowiectwa parkowego niezawodnie przytemperuje chronometr przyszłości do swoich pojęć etycznych, ale na dziś, gdy prawa naszej „sławnej braci“ spoczywają jeszcze w powijakach, gdy za rzecz całkiem naturalną uważamy zabijanie masowe zwierząt hodowanych, sposobiąc je nawet torturową operacyą do wyszukanych celów (kastrowanie-napychanie), gdyż to wszystko ma być jedynie dla nas stworzone, nie wylewajmy chyba łez krokodylich nad każdym ubitym jeleniem, ba nawet nad każdą ubitą kuropatwą lub bażantem parkowym, i bądźmy zadowoleni, gdy w bardzo powolnem tempie słabnąć będą drapieżne instynkty wśród czasów wypieszczonej natury, gdy wreszcie ubijanie zwierząt schodzić będzie do rzędu płatnych obowiązków. Do takich to nadziei uprawnia właściwość natury ludzkiej; drapieżne instynkty nie mogą trwać na długą metę, gdy im zabraknie pobudzających sprężyn. Trudności rozmaitego rodzaju, wrogie działania żywiołów, niebezpieczeństwa na każdym kroku, spotykany opór bądź siły bądź zmyślności, powołać mogły do szczególniejszego rozkwitu, zwłaszcza u ludzi krewkich, żyłkę, którą namiętnością myśliwską nazywamy, jednak gdy zabraknie tej zaprawy, gdy korzenne motywa zatracają się — stygnie namiętność, podtrzymuje jeszcze moda dawne zwyczaje czas jakiś, wreszcie człowiek, w którym ostygły już mordercze zapały wpatruje się z uwielbieniem w dzieła Kalokagalji przyrody, odrzuca narzędzie zniszczenia i wśród niezbadanych przybytków piękna i siły składa hołd Stwórcy poszanowaniem dzieł jego.

Ileż to razy w kołach naszych myśliwych, na polowaniach częstokroć bardzo skromnych co do rozlewu krwi dają się słyszeć nader sympatyczne objawy serca dla zwierzyny. Jeden nie mógł strzelać, bo mu zając przysiadł na 20 kroków, drugiemu kozioł wyszedł na tak bliską metę i stanąwszy popatrzył tak pięknemi świcami, że zaniechał strzału. innemu wreszcie usiadł cietrzew na odkrytej łączce, a stracił on może kilka nocy na okupienie tej chwili i cóż się stało? ot ręka czegoś zadrżała i ptak uleciał, a dobry to myśliwy, trafny to strzelec, spoglądał nieraz kudłaczowi w ślepie, strzelał o zakład.

Nie miejsce tu zagłębiać się w misterja tej dziwnej istoty, którą myśliwym nazywamy — podobne jednak objawy są to w każdym razie iskierki naszej drugiej połowy— zarzewie tlejące od wieków uświęcone mytem i legendą. Wywoływali je niegdyś brodaci Aracheusze, geniusze gór i borów, jarzące symbole wiary i miłości ponad głową prześladowanej dziatwy wolnej natury, i budzić się będą w coraz to jaśniejszym żarze, gdy Pan ziemi po zwalczeniu oporów i przeszkód okiem serca i rozumu przygarnie ku sobie podbitą naturę.

DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał

ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Po jakichś dziesięciu minutach spuszczania się w dół po owej stromej ścieżynie znaleźliśmy się na pochyłym nasypie, utworzonym z grubego szutru, który nawalnice wytroczyły ze skał i tu niby stopień, niby podnóże skał ułożyły. Spadzistość była już daleko mniejsza, a schodzenie w dół nie przedstawiało wcale żadnego trudu ni też niebezpieczeństwa, bo nasyp był bardzo szeroki i mogliśmy już iść obok siebie. Teraz dopiero Kazik odetchnął pełną piersią, spojrzał na mnie serdecznie swemi dużemi, dobremi oczami i nie ukrywając swego zachwytu zawołał:

— A niechże cię wszyscy dyabli!!.. Toś mi dopiero zaimponował.. Taż ty po górach łazisz jak alpejska kozica... Mogę za tobą torby nosić!

— Nie pamiętam, żeby jaka pochwała w całem mem życiu zrobiła mi była tak wielką radość, jak te proste słowa serdecznego chłopaka... Uczułem, że kocham go jeszcze bardziej, że jego dzielność nie przygnębia mnie tak strasznie, że jest pewien zakres tężyzny, w którym go przewyższam. To mnie najwięcej było ujęło, że mi tak niepytany oddał zupełną sprawiedliwość.

Za chwilę stanęliśmy nad samym brzegiem wody. Dniestr był spokojny. Rzeka szeroko rozlana ścieliła się u naszych stóp, jak jakieś olbrzymie, trudne do zmierzenia okiem, wspaniałe zwierciadło. Promienie słoneczne, padające teraz prawie prostopadle na nasze głowy, porozpiekały były nadbrzeżne skały tak, iż zdawało się nam żeśmy weszli do jakiegoś rozpalonego pieca. Cisza w przyrodzie panowała taka, że brzęczenie nadbrzeżnych komarów słyszeliśmy z taką dokładnością, jak się słyszy w mieście muzykę kapeli wojskowej. Ogromna rzeka zdawało się, że oddycha ciężko w tym upale i z oddechu tego szła na nas jakaś orzeźwiająca wilgoć.

Ilko, którego upał zgoła nie męczył, zakrzątał się i wnet znalazł łódź rybacką, którą postanowił przeprawić nas na »turecki« brzeg. Kondratowicz nie dał mu jednak popisywać się biegłością w wiosłowaniu, odebrał mu wiosło, usadowił nas na dnie łodzi, a sam, stanąwszy na tyle, zaczął wiosłować z wprawą fachowego gondoliera.. Talent ten wywołał okrzyki podziwu z ust milczącego zazwyczaj Ilka. Kazik nie zwracał nawet uwagi na te pochwały, oczy swe owiane mgłą jakiejś dziwnej melancholii utkwił w przeciwny brzeg, a z ust jego niby mimowolnie popłynęły słowa i nuta smutnej, strasznej pieśni rosyjskich studentów:

W dol pa Wolgie, pa matuszkie...

Smutna, zjadliwa, buntownicza nuta płynęła nad cichemi falami Dniestru, rozpływała się i łamała kaskadami potężnego głosu po załamach i szczelinach skał, drżała długo i tęskno nad modrą powierzchnią wód. Pieśń ta czar jakiś na mnie rzuciła, siedziałem oniemiały, zadu-

many, zapatrzony przed siebie i niewidzący nic a nic, tylko mgły i jakieś fantastyczne zamki zaczarowane. Silne stuknięcie łodzi wyrwało mnie z tej zadumy.

Byliśmy po przeciwnym brzegu. Domek kapitana widniał o jakie trzysta kroków od brzegu na pagórku.

* * *

Pan kapitan Gawlikowski nie często musiał miewać gości, bo najwyraźniej nasze niespodziane zjawienie się wywołało straszny zamęt i zakłopotanie. Zanim doszliśmy do drzwi słomą pokrytego domku, dostrzegłem, że już zauważono nasze przybycie. Nasamprzód na obserwacye wybiegła jedna dziewka, po niej druga, za niemi wysunęło się kilka psów, które nas przywitały radosnem szczekaniem i biegły naprzeciw łasząc się i kręcąc ogonami.. Wreszcie ukazał się na progu sam pan kapitan, zapinając pospiesznie białą »kitkę« mundurową na złocone guziki... Uśmiechnął się bardzo mile i przywitał nas:

— Mam honor odrekomendować się... Dnieprowskiego piechotnego pułku, sztabs-kapitan w zapasie.. A z kim mam zaszczyt i przyjemność?

»Odrekomendowaliśmy się« i my po formie panu kapitanowi.

Zaczęła się rozmowa, którą Kondraszek dzięki swemu specyalnemu talentowi sprowadził do poziomu serdecznej pogadanki ludzi znających się od niepamiętnych czasów... Z punktu zaczął mu opowiadać, jak się ogromnie ucieszył, gdy się odemnie i od genialnego Petia Pielawskiego dowiedział, że tak blisko mieszka tak osobliwszy i tak ciekawy człowiek, jak pan kapitan Gawlikowski.

— Pan podobno z samym Szamilem wojował? — zapytał nagle, z wyrazem najwyższego zainteresowania.

— Ha, wojowało się za młodu, — odpowiedział kapitan, ale tak ogólnikowo, że co do mnie to nie mogłem nabrać dokładnego pojęcia, czy te boje kapitańskie odbywały się z samym Szamilem, czy tylko z jakimiś Szamilentami.

Ogromnie ciekawy byłem jak się Kondraszek weźmie do głównej sprawy i jedynej przyczyny naszego tu przybycia t. j. do uproszenia kapitana, by nam pożyczył jakich strzelb.

Tymczasem weszliśmy do wnętrza domku, a raczej obszernej chałupy, w której kapitan rozłożył się był po obozowemu. Z biciem serca dostrzegłem, że na dziwnej indyjskiej, czy kaukazkiej rogoży, okrywającej całą prawie jedną ścianę chałupy, wisiało kilka strzelb, czystych, świecących, wypolerowanych. Kazik dojrzał je również od razu i spojrzał wnet na mnie, dając mi wzrokiem do poznania, że rad jest, żeśmy tu na darmo nie przyjechali.

Pan kapitan tymczasem pomyślał o gościnnem przyjęciu. Obie dziewki, czy kobiety wiejskie, które tak ciekawie obserwowały nasze przejście od rzeki do domku kapitana, stały teraz w sieniach i przez szparę w odchylonych drzwiach ciekawie się nam przypatrywały.

— Hej! Horpyna! — zawołał nagle pan kapitan głosem komendy — Czego stoisz tam i zęby do paniczów szczerzysz... Marsz mi zaraz, zarzniesz troje kurcząt i na rożen.. Wiesz jak przyjeżdżają panowie z polskiego boku, to są inni goście, niż jakiś tam żyd, niechrest z Lipkan po pateruchę... A no wio!.. Piorunem żeby mi było gotowe.

Nawoływana Horpyna przestąpiła próg, a zasłoniwszy usta czerwoną wełnianą fotą, która naddniestrzańskim zwyczajem zastępowała jej spodnicę, i rzucając nieznacznie ciekawe spojrzenia na nas obydwu, spytała głosem, który bardzo kunsztownie udawał zmieszanie i zakłopotanie:

— Ja bo ne znaju, które kurczęta zarznąć!

— A to ci baba! *czortowa newistka* — huknął kapitan — Rznij jakie chcesz, byle były tłuste.

Kobieta nagle wyprostowała się, puściła z rąk fotę i spojrzała śmiało, zalotnie na Kondraszka. Zobaczyłem ją i ja w tej chwili całkiem dokładnie, miała śliczną twarz matowego odcienia, krucze włosy i czarne jak węgiel, palące oczy...

Kondraszek cmoknął jak handlarz koński na jarmarku i oblizał końce palców na znak podziwu... Kapitanowi widocznie te objawy uznania dla piękności Horpyny zrobiły przyjemność, bo uśmiechnął się milutko i nie dając jeszcze za wygrane, zawołał po raz drugi:

— A no hej!.. Charitono, jakiego dyabła chowasz się po za drzwi, ktoby pomyślał, żeś taka bogomolna i przed paniczami się chowasz. A no chodź tu.

I powtórzyła się znowu poprzednia scena, z tą tylko różnicą, że Charitona nie była czarnowłosą, ale miała włosy jasno-popielate, złotawego odcienia, była trochę niższa od swej towarzyszki i jej kształty były trochę pulchniejsze.

— Biegaj, babo do więcierza — komenderował kapitan — i zobacz, czy nie ma tam ryby, jak jest zabierz ze dwie i zaraz mi usmażyć... Panowie pewnoby zjedli po kawałku.

Charitona pochyliła się do głębokiego ukłonu, przyczem jej oczy tak szelmosko spojrzały na Kondraszka, że ten nie mógł się powstrzymać i zawołał:

— Kapitanie! cud świata, gdzieś takie kobiety wynalazł?.. Czy z Kaukazu za panem tu przywędrowały?

— Tutejsza! — odparł kapitan poważnie. — Takich kobiet, jak nad Dniestrem, nie ma nigdzie na świecie... Jest to rasa słowiańska skrzyżowana z mołdawską... Ja ładniejszych nigdzie nie zdybywał... Dlatego tu siedzę i ten śmierdzący bakun uprawiam.

Na te słowa młoda kobieta zarumieniła się w ten sposób, że przysięgaćby było można, że jest niewinną jak nowonarodzone dziecko i przez zasznurowane usta szepnęła:

— Ot nie wiedzieć co pan kapitan gadają.

Wychodząc jednak, w drzwiach rzuciła tak wyzywające spojrzenie na Kondraszka, że zrozumiałem, iż musiał użyć całej siły woli, żeby nie skoczyć za nią w celu pomagania jej przy poszukiwaniu ryb. Chęć zdobycia na jakiś czas strzelb kapitanowych powstrzymała go jednak na miejscu. Westchnął tylko ciężko, coś zaklął z cicha i dalej zaczął pochlebiać naszemu nowemu znajomemu. Sposób był widocznie doskonały, bo nasz gospodarz zaczynał się »miodem rozpływać« i topnieć jak śnieg pod wpływem wiosennych promieni słońca.

— Dobre z was panicze! — zawołał nagle — o! z wami toby i żyć było przyjemnie... Napiłbym się coś z wami... Ale co?.. Prostej wódki śmierdziuchy wy pić nie będziecie... A dobrej ja znowu nie mam... Od wina besarabskiego zaczynać to bardzo niepolitycznie... Ot mam jeszcze butelkę nalewki, na kijowski sposób robionej.. Dereniówka, prawdziwa dereniówka, sam ją nalewałem na alembikowany spirytus.. Napijecie się?

— Napijemy się, kapitanie! — zawołał rozweselony Kazik.

Gospodarz wyciągnął z szafy dużą butelkę tej nalewki i ponalewał nam do lampek czerwonego jakiegoś płynu.

Kondraszek golnął od razu cała lampkę i ani się za-

krztusił... Ja wciągnąłem dobry haust do ust i zrobiło mi się jakoś — niewyraźnie. Płyn ten czuć było mocno niedogonem... Obejrzałem się czyby nie można gdzie wypluć ten specyał, lecz Kondraszek znać odgadł mą myśl i tak się ostro na mnie popatrzył, żem w mgnieniu oka połknął to, com miał w ustach i dopił resztę zawartości lampki. — Nudzić mię to zaczęło i nie dałem się namówić kapitanowi na powtórzenie tej porcyi.

— He, he! Pytlowany nasz panicz! — szepnął niedyskretnie kapitan i zwrócił się znowu do Kondraszka: — A pan to nasz brat, maładiec! Panu tylko w wojenną służbę iść... Z pana dziśby już był »obrascowy junkier«... Co, nie powtórzymy?

Kazik przyoblekł swą twarz w wyraz najserdeczniejszej kordyalności i najsłodszym głosem, na jaki się mógł zdobyć, odpowiedział:

— Z tobą kapitanie, napiłbym się i dziegciu, a cóż dopiero takiej doskonałej nalewki... No, daj nam Boże!

Nalał więc kapitan drugi raz i stuknął się z Kondraszkiem aż szkło zadzwoniło.

Nalewka nań widocznie działała bardzo dobrze, bo wnet zapomniał o urazie do mnie i rozmawiał z nami obydwoma bardzo po przyjacielsku.

— Bardzo już kiepsko człowiekowi — mówił poważnie — jak niema do kogo wypić kieliszka wódki... Dobry człowiek lgnie do człowieka, a tylko niegodziwy ucieka od ludzi... Tylko moja sałdacka, burłacka dola taka, że muszę tu siedzieć całe lato z temi babami i na kawałek chleba pracować... Mam tam sto kilkadziesiąt rubli rocznie »pensionu«, ale z tego człowiek nie wyżyje... ot zebrałem sobie, zasłużyłem przez długie lata kilkaset rubli, to i obracam nimi. Od kompaniona Rogaczewa, co był majorem w naszym pułku, ale choć sztabsoficer, ale dusza nie człowiek, nająłem sobie tu dwadzieścia falcz pobereżyny, to i sadzę tytoń, składam, sortuję, a jak sprzedam, to jadę sobie na kilka tygodni do miasta, do Chocimia, a czasem nawet do Kamieńca... Człowiek wtenczas spotka znajomą duszę, pohula trochę, pogra w karty i przypomni dawne czasy wojenne.. i wraca tu znowu na pustynię... Baby tymczasem chałupy pilnują i psom jeść dają...

— A cóż pan w lecie robi? — zapytał Kondraszek. — Oprócz tego tytoniu nie ma pan innego zabawniejszego zajęcia?.. Nie poluje pan?

Zaczarowane słowo padło i Kondraszek dyplomatycznie zbliżał się do celu swych marzeń. Kapitan usłyszawszy to pytanie, skrzywił się strasznie; twarz jego przybrała wyraz tak strasznego lekceważenia, że była prawie nie do poznania... Milczał chwilę, ażr weszcie zawołał syczącym od gniewu głosem:

— Ta, na co tu polować! chyba na gołębie, po skałach!

Był widocznie wzburzony bardzo, bo jakiś czas oddychał pospiesznie jakby starał się więcej powietrza do płuc wprowadzić i w ten sposób uspokoić się. Myśmy obaj także milczeli, a Kondraszek miał minę zmaltretowaną, prawdopodobnie obawiał się, czy z wielkiej chytrości nie palnął jakiego głupstwa... Tymczasem kapitan zasapał się i zwracając się do Kazika zawołał:

— Jakie tu panie dla mnie polowanie? Jakie?.. Co ja mam tu strzelać?.. Jak ja był na Kaukazie, to bywało zbierze się nas ze sześciu samych oficerów... a bierzemy ze sobą ze trzydzieści żołnierzy, a czepi się do nas z dziesięciu panie tych czerkiesów — takich ich muzułmańskich kniaziuków, czy rycerzy... Chłopy na schwał, a już myśliwi to zawołani. Jedziemy i nie wracamy nigdy bez jednego, bez dwu jeleni, bez czterech, pięciu dzikich wieprzów. A tu co? Do czego mam strzelać!..

— No a ptactwa nie ma? — szepnął nieśmiało Kazik.

— Jakie tu ptactwo? — huczał rozogniony kapitan dalej. — Tam bywało, nudzi się człowiekowi z południa. Służbę odrobił... kolegi, kompaniona na sztosa nie widać.. Zabiera człowiek prostą sobaczkę, od takiego psinka podwozowego i wali w las... I co panowie myślą, że na darmo? Gdzie tam. Sobaczka podlizie pod krzak i zaczyna łająć... Hau! hau! hau! Idżże człowiecze zaraz do niej, bo ona darmo nie hauka... Podchodzisz, a tu ci fasan z krzaku brrr!.. Jak indyk ci zleci, pociągniesz za cyngiel, a on buch na ziemię, a sobaczka się cieszy i ogonkiem kręci i leci drugiego szukać... Niech tu idzie szukać... co znajdzie?.. Srokę!.. A jak dobrze pójdzie to i sroki nie znajdzie, bo tu pustki.

— A kuropatw nie ma? — pytał dalej Kazik.

— A skąd mają być — odburknął niechętnie kapitan. — Właściwie one tu powinnyby być, żyć skąd mają i pięć lat temu, jak sprowadziłem się na tą pustynię, to jeszcze było ich mnóstwo, ale co z ludźmi poradzisz. Rogaczew jak zaczął z wyżłem i podjazdem chodzić, wybrał co do jednej — teraz zjadłby czasem, a tu ani słodu.

— A cóż tu jest właściwie? — rzucił rozpaczliwe pytanie Kazik.

Kapitan przybrał poważną minę i rzekł:

— Głodne wilki... Oblazłe lisy i... gołębie.

— No, to wilki, lisy można strzelać.

— Nie głupi ci lis lub wilk leść pod lufę... No, a na gołębie wolno po skałach polować.

Tu Kazik z wielką nieśmiałością wystąpił z prośbą, że my mamy wielką ochotę zapolować ale strzelb nie mamy i umyślnie przyjechaliśmy prosić kapitana o pożyczenie nam broni....

Kapitan skręcił się na razie, lecz jakoś widocznie dobry to był u niego dzień, bo uśmiechnął się przyjacielsko i rzekł:

— Chociaż to przysłowie uczy, że »żony, strzelby i brzytwy nie pożyczaj nikomu« ale że to dla takich przyjemnych sąsiadów i paniczów, to już wam dwie strzelby pożyczę... Ale pod warunkiem...

Zaczęliśmy pytać o warunki.

— Powiem po prostu — odpowiedział kapitan — człowiek żyje jak pies, jak sobaka na łańcuchu, tygodniami drugiego człowieka nie zobaczy... A zagrać w karty lubi, oh! lubi... Otóż, jeżeli panowie zrobią ze mną partyjkę preferansa to dam strzelby... Ja gram tanio, po niczemu, po groszu punkt, marna *deniaszka* pół kopiejki.

Nie wypadało odmawiać. Zasiedliśmy do owego preferansa, którego nie umiałem grać, ale wstydziłem się do tego przyznać.. Zjawiło się i białe mołdawskie wino słodkawe i aromatyczne, które rozlewała złotowłosa Charitona, po dokumentnem skonstatowaniu, że ryby we więcierzach już nie było, i że je pewno musiał wyciągnąć w nocy Petro Kupiec, sławny złodziej na ryby i drób.

Jak ta gra szła, o tem dobrego pojęcia nie nabrałem nigdy, tem bardziej niemiałem wówczas, oszołomiony mocnem winem i ognistemi spojrzeniami ślicznej Charitony... Zastanawiałem się wówczas nad jedną tylko rzeczą, a mianowicie nad tem, że Kondraszek, o którego słabości do płci niewieściej tak dobrze wiedziałem, i którego Charitona tak z razu zachwyciła, był pochłonięty grą do tego stopnia, że nawet okiem nie rzucił na to cudne

zjawisko — był cały grą zajęty i wszystkie władze umysłowe wytężył w tym kierunku.

Pula ta trwała ze trzy godziny, pociłem się przy niej okrutnie i pamiętam, że kilka gier znacznych przegrałem, Kondraszek zaś wygrywał bez ustanku i sam coś zapisywał i mazał i z kapitanem się sprzeczał. Co do mnie, nie miałem najmniejszego pojęcia co znaczyły te liczby, trójkąty, plusy, minusy i te wszystkie kabalistyczne znaki, które zapisywali kredą na zielonem suknie moi obaj towarzysze i mnie takie same kazali kreślić. Co prawda, nigdy nigdy nie miałem najmniejszego pociągu do gry w karty, w pierwszej młodości dałem się był wskutek fałszywej ambicyi zaciągnąć do gry, ale amatorstwa do niej nie nabrałem, przegrywając zawsze i wszędzie; wreszcie zajęcie to nudziło mnie zawsze okropnie. Owa pula z Kondraszkiem i kapitanem zmęczyła mnie była więcej, niż każda inna. — Kapitan milczał i grał z takiem zajęciem, jakby tu o losy świata chodziło. Kondraszek choć żartował trochę, ale nie był w swym zwykłym humorze i widocznie także natężał umysł znacznie, żeby dobrze grą pokierować, ja klapałem kartami jak mi się wydało lepiej i myślałem, że to ostatecznie nie robi żadnej różnicy, bo jeżeli się gra po groszu punkt, to dużo przegrać nie można. Miałem zresztą w pugilaresie tych dziesięć rubli, które dostałem za sprzedanego wieprzka karmionego na moją korzyść, więc miałem nadzieję, że więcej przegrać nie mogę.

Wreszcie pula się skończyła. Wstaliśmy.

— Niech pan sprawdzi, wiele pan przegrał — zwrócił się do mnie kapitan.

— Proszę zliczyć, ja sam niepotrafię — odpowiedziałem obojętnie i wspaniałym gestem sięgnąłem do portmonetki po swe kapitały. Sądziłem, że są one tak potężne, iż mogą przetrwać nie wiem jak hazardowną grę. Kapitan liczył i liczył i liczył; przypatrywałem się tym cyfrom i zaczęło mi się robić jakoś niewyraźnie; zsumowywał on setki, dziesiątki, a suma rosła bezustannie... Wreszcie kapitan podniósł głowę i patrząc mi drwiąco w oczy, rzekł:

— Sześć tysięcy czterysta punktów!.. Oh! Takiej grubej przegranej dawno już nie widziałem, szczęście dla pana, że graliśmy po groszu, żebyśmy tak grali po dziesięć kopiejek, jak się gra w Chocimiu w klubie, to byś pan był beknął na sześćset czterdzieści rubli, a teraz tylko trzydzieści dwa ruble musi pan zapłacić. Zrobiło mi się naraz zimno i gorąco... Drżącą ręką wyciągnąłem owe nieszczęsne dziesięć rubli i podałem je kapitanowi szepcąc:

— Proszę dziesięć rubli... Resztę jutro odeszlę.

— Przepraszam — odparł porywczo kapitan, który jeszcze raz zliczał w tej chwili swe zapiski — mnie się należy tylko ośm rubli dwadzieścia sześć kopiejek — resztę winien pan swemu koledze.

Odetchnąłem, z dobrą miną schowałem do kieszeni resztę, którą mi wydał kapitan z mego czerwonego banknotu i w zupełnie dobrym humorze zasiadłem do pieczonych kurcząt i gorącej herbaty, podawanych znowu przez czarnowłosą Horpynę.

Słońce poczęło się chylić do zachodu więc zacząłem nalegać na Kazika, żeby pić pospiesznie tę herbatę i za dnia przeprawić się przez Dniestr... Humor też jakoś znikł w towarzystwie i kapitan choć niby zapraszał na drugą pulę, ale jakoś miękko i czuliśmy, że rad by się już nas pozbyć... Dla mnie był bardzo uprzejmy i nadskakujący, a dla Kondraszka ochłódł nagle i był z nim znowu na ceremonijalnej stopie.

Po herbacie wybrał nam dwie strzelby, co prawda nie najlepsze ale zawsze możliwe. Jedna była dubeltówka, do kapsli, wyrób krajowej fabryki, co można było poznać po napisie świecącym pysznie na szynie pomiędzy lufami »Tuła«. — Druga była pojedynka, wspaniała broń czerkieska z długą lufą pewno na półtora metra i ślicznie inkrustowanem łożem. Strzelba ta widocznie zdobyta gdzieś na kaukaskim dżigicie nosiła ślady przerabiania, zapewne kapitan kazał odrzucić dawny kurek prawdopodobnie do krzemienia sporządzony, a choć nowy, zastosowany do kapsli i ta jedna tylko przerobka szpeciła bardzo tę cudowną broń.

Kazikowi aż oczy się roziskrzyły, gdy zobaczył tę prześliczną gwintówkę.

— Gdzieś ją kapitanie zdobył.. Pewno ją nosił jakiś sławny dżigit. C. d. n.

Zając.

Pogadanka.

... a od króla Lecha żaden za szarakami nie gonił Hreczecha.

Tak mówił Wojski – ów wielki myśliwy z „Pana Tadeusza“, on nie rozumiał — jak można polować na takie małe zwierzątko, które bronić się nie umie i nie potrafi.— Przytaczając tu jednak słowa z „Pana Tadeusza“ muszę zaznaczyć pewną zawiłość językową. — I tak — kiedy w lipskiem wydaniu te słowa użyto, „za szarakami“, to w wydaniu najnowszem pism Mickiewicza, dokonanem pod egidą Piotra Chmielowskiego, jest w tem samem miejscu powiedziane „za zającami.“ Lecz ściśle biorąc, ta kwestya nie należy do szpalt „Łowca“. My, ludzie najnowszych pokoleń, nie mając żubrów, niedźwiedzi i tym podobnych zwierzy do strzelania, kontenci jesteśmy, jeżeli możemy strzelać zające, choćby się one zwały szarakami, kotami, a nawet jak na Mazurach śpiochami. — Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie a równocześnie i nasze stosunki łowieckie. Zamiast kapiszonówek ze skałką, mamy dziś lankastrówki i iglicówki bez kurków, mamy zajączki, a nie mamy grubego zwierza i mamy najnowsze ustawy łowieckie, kasujące stary patent dotąd obowiązujący z roku 1786 — na ogół zaś biorąc, mamy duże pojęcie o łowiectwie, ale nie mamy zwierzyny. Ale Pan Bóg wie co robi... Bo być może, iż gdyby obecnie było u nas dużo zwierzyny, to z pośród czeredy „Sontagsjägerów“ powstałby tym większy zapał i namnożyłoby się ich takie mnóstwo, że zwyczajny myśliwy zniechęciłby się do łowiectwa zupełnie i zawieszając strzelbę na kołku, powiedziałby: Niech to wszystko licho weźmie!

Jestem niepoprawnym gadułą, bo zamiast gawędzić o zającu, zaszedłem aż do „Sonntagsjaegerów“. Karcąc się w duchu za to zboczenie, wracam do przedmiotu.

Zając, to najpoczciwsze zwierzę nasze. Wierny swej miejscowości, gdzie się ulągł, tam przebywa stale, nie ma nawet nigdy zamiaru zmieniać tego miejsca na inne. Przeskoczy o parę miedz, ale daleko nie pójdzie. I za co ludzie nazwali go kotem! W nim niema fałszu ani za grosz, a tem mniej drapieżności kociej. Już więcej podoba mi się nazwa szarak, a nawet śpioch, śpioszek. To określa poniekąd jego zachowanie się w dzień. Gdzie się położy — tam śpi. A pomimo to jest sympatyczny. W ślicznej kołysance Moniuszki. — „Śpij dziecinko już“ pomyślano o zajączku śpioszku, bo tam śpiewa:

A zajączek w zbożu spał,
Zbudził go myśliwych strzał...

Więc dlaczego i za co nazywać go kotem? Łagodny, wszystkiego się bojący, brat królika, niech zwie się zajączkiem, szarakiem, ale nigdy kotem.

A nie myślcie sobie państwo, że to łagodne i spokojne zwierzątko nie ma żadnych błysków rozumu. Oho! zajączek umie kombinować. Bo proszę zwrócić uwagę, jak on się w kotlinie układa. Zawsze leży tak, aby w chwili niebezpieczeństwa zerwać się mógł z legowiska i w tej chwili uciekać w górę. To jest dla niego dogodniej, bo mając tylne nogi (skoki) długie i w nich ścięgna silnie rozwinięte, szybko w górę ucieka. — Potrafi on zmuszony uciekać z góry na dół, ale to jest mu niemiłe. A jak on liczy się z porami roku. Kiedy w lecie wiatry są ciepłe, nasz zajączek kładzie się do snu dziennego w ten sposób, że powiew wiatru igra z jego turzycą. Natomiast w jesieni i zimie jest na panujący wówczas ostry wiatr o tyle wrażliwy, iż układa się do snu w takiej pozycyi, że wiatr może szaleć mu po słuchach, może dmuchać mu w pyszczek, ale niech Bóg broni, aby mu turzycę na grzbiecie poruszał. Na tym punkcie jest łaskotliwy i tego znosić nie może.

Przypisując zajączkowi pewną inteligencję, jaką u zwierząt się spotyka, trudno nie zaznaczyć pewnych znamion, a raczej objawów tej inteligencyi. I tak, zając, który zapoznał się z chartami, umie ich oszukiwać. Kiedy one są w największym rozmachu i pędzą za nim, aby tuż tuż go uchwycić, on spotykając jakieś zagłębienie, bruzdę lub coś podobnego, przyczaja się, przytula do ziemi, robi się zupełnie płaskim. Rozumie to, że charty zapędzone zrobią jeszcze kilkanaście skoków, zanim potrafią swój impet powstrzymać, a on tymczasem napowrót uciekać będzie. Lub weźmy polowanie na zająca z naganką. Niechno mu się uda pierwszy raz, kiedy naganka go wypłoszy, przejść linię strzelców zdrowo i cało, to od razu pojmie, że tam, gdzie duży hałas, niema niebezpieczeństwa i przy następnem polowaniu, jak tylko naganka go ruszy, to poskoczywszy parę susów, siądzie, poduma i z całą odwagą pójdzie pomiędzy chłopców, tworzących naganke.

Zając ma w swej naturze pewien wstręt do miejsc wilgotnych i zwykle zatrzymuje się na pewnych wyniosłościach. Ale na jesień, kiedy jest tłustym chętnie wydostaje się na wilgotne, krzaczkami porosłe łąki i tam na jakiejś kępie do snu się układa, aby ochłodzić się trochę. To też w tym czasie, — naprzykład — obecnie, łąki takiej szkoda pomijać, bo tam na pewno siedzi „śpioszek“.

Lecz mówiąc o obecnem polowaniu na niego, trudno nie zaznaczyć, że teraz zając — pomimo iż tłusty — jednakże nie jest smacznym. Przyczyny tego szukać należy w tem, że w tym czasie zając znów się leni i dostaje turzycę zimową. Z marca na kwiecień leni się, drugi raz z września na październik i wtenczas jest niezdrów i mięso jego nie ma należytego smaku, ani zwykłej kruchości. Naturalnie, że to myśliwych, którym chodzi o strzał, a nie o mięso, nic nie deranżuje i zobaczywszy zajączka, nie są w stanie powstrzymać się, aby do niego nie strzelić. Nie zraża to tem mniej kłusowników, lisów, no i „Sonntagsjaegerów“.

Jest rzeczą nie dającą się zaprzeczyć, że żaden zwierz nasz nie jest narażony na takie tępienie, jak zając. To też chociaż miewa 3 razy do roku młode i z tych tak zwane marczaki, już w tym samym roku mają potomstwo — zajęcy jest nie wiele. Tępi się ich nadzwyczaj. Wrona, jastrząb, koty włóczące się po polach, wszystko to łowi młode zajączki, a nawet i na stare się porywa. Gdzie on biedak może się ukryć? Idzie do lasu, tam spotyka lisa lub kłusownika, którego czas ochronny nic nie obchodzi. Siedzi w polu, to znów licho naduiesie niedzielnego strzelca, bo ci grasują głównie na polach, spostrzeże go wrona, jastrząb, no i śmierć gotowa. I nie ma on być tchórzem, tembardziej że nie jest zdolnym do obrony. — To też biedaczysko wiecznie wystraszony, za najmniejszym dosłyszanym szmerem, zrywa się i ucieka, gdzie może. Lecz to bardzo często nic mu nie pomaga, bo ucieka po ziemi. Ptak wzleci wysoko tak, że go strzał myśliwego choćby nawet w polowaniu kociołkowem dosięgnąć nie może. Kpi on sobie również z naganki. Ale z zającem inna sprawa. Bo jeżeli są dobrzy strzelcy, to on nieborak z kociołka się nie wydobędzie żywy.

Mówiąc o polowaniu na zająca, to przyznać się muszę, że w tym kierunku nie jestem postępowy i najbardziej lubię polować z ogarami. To emocyjuje mnie najwięcej, a równocześnie głoszenie piesków w kniei sprawia na mnie bardzo miłe wrażenie. To głosy ich cichną, to znów się ożywiają. Jednem słowem jest to bardzo przyjemnem i stanowczo więcej sprawia uroku, niż hałas naganki.

Na zakończenie tej gawędki, muszę jeszcze jedno podnieść, a mianowicie, chciałem się dowiedzieć, skąd powstało to wyrażenie, „ma w głowie zajączki“. Stojąc na stanowisku i upatrując skąd może coś na strzał się pojawić, nieraz myślałem o tem. Lecz pomimo tak głębokich rozstrząsań tej kwestyi, nie doszedłem do żadnego wyjścia. Może który z bieglejszych odemnie znawców zająca, da mi co do tego pytania objaśnienie: — Dlaczego nie myszki — tylko zajączki — w głowie?

K. Kozierowski.



OSTATNI NIEDŹWIEDŹ.

(Ciąg dalszy)

Pan Michał obejrzał się dokoła. Nigdzie ani krzaka, ani kupki śniegu; nie było się gdzie schować. Jedyny środek, aby nie być spostrzeżonym przez niedźwiedzia przed czasem, polegał na tem, żeby pozostawać w pewnej odległości od zworu i spotkać się z niedźwiedziem dopiero w chwili, gdy będzie wyłaził na brzeg urwiska. Wspinając się, nie mógł aż do samego wyjścia zobaczyć człowieka, ale na odwrót, pan Michał nie mógł go także widzieć, gdy się piął do góry.

Miejsce jego ukazania się trzeba było odgadnąć, niemal przeczuć je.

Zresztą, nie było to trudnem. Tuż naprzeciw pana Michała nierówny brzeg zworu stawał się krętym i ostrym, tworząc wgłębienie, a niedźwiedź musiał wyjść po jednej z jego ścian, jako więcej pochyłych — albo trochę na lewo, albo też trochę na prawo.

Pan Michał rzucił się naprzód i z bronią na pogotowiu spuścił się na prawe kolano, w odległości dziesięciu kroków od brzegu.

Na bladych jego policzkach igrał silny rumieniec i lekki dreszcz przebiegał od czasu do czasu po jego ciele.

Kolano jego weszło głęboko w śnieg, to też, aby zachować równowagę, oparł się na lewej ręce, podtrzymując prawą ręką broń i nerwowo dotykając się to jednego to drugiego cyngla. Głowa go paliła, zdjął czapkę. Lekki wietrzyk rozwiewał mu włosy. Wyciągnąwszy się naprzód, czekał z zapartym oddechem, nie drgając ani jednym muszkułem twarzy.

— Natychmiast się ukaże — pomyślał i obejrzał się.

Smutnie jakoś i niewesoło rozścielała się dokoła równina śniegowa. W powietrzu wisiała martwa, przygniatająca cisza.

Przypomniał sobie Sasa i dopiero teraz zauważył, że go z nim niema.

Nagle dał się słyszeć jakiś szelest.

Drgnął, zlekka podniósł broń i wlepiwszy oczy w brzeg zworu, zamarł niemal w oczekiwaniu.

Szelest jednak nie powtórzył się. Widocznie mu się coś przysłyszało.

— Jednakowoż, dlaczego ta bestya się nie pokazuje?... Czasby już było...

Krew waliła mu coraz silniej w skroniach, oddech stawał się coraz cięższym.

— Czasby już było — pomyślał jeszcze raz i mimowoli spojrzał za siebie.

Za nim, nie więcej jak w odległości dwunastu kroków, stał niedźwiedź i uważnie mu się przypatrywał.

Wspinając się na górę, widocznie zmienił kierunek i wyszedł ze zworu nie przed panem Michałem, lecz za nim.

Pan Michał szybko odwrócił się do niego i podniósł broń, ale nie strzelał. Jakieś dziwne, niepojęte uczucie nim owładnęło i nie pozwoliło mu zebrać myśli. Pojmował, że się stało coś niezwykłego, że coś należy uczynić... Bezwarunkowo należy i jednocześnie jak najprędzej. Pojmował nawet, że należy najpierw wymierzyć, a potem wystrzelić — ale ani nie mierzył, ani nie strzelał...

Jakby zdziwiony jego ruchem, niedźwiedź zlekka cofnął się w tył.

Oczy ich spotkały się.

Niedźwiedź posunął się jeszcze trochę w tył i najeżył się.

— Gdzież Sas? — przebiegła panu Michałowi dręcząca myśl przez głowę.

Mimowoli spojrzał w bok.

Sas biegł ku niemu, ale był jeszcze bardzo daleko.

Pan Michał jakby nagle opamiętał się, wymierzył i wystrzelił.

Niedźwiedź z rykiem podniósł się na tylne łapy, w tej samej chwili jednak ociężale zwalił się na przednie i ciężkim, ale szybkim galopem, omijając pana Michała, poszedł w dół zworu.

Pan Michał znowu podniósł broń do góry, ale, jakby się rozmyślił. powoli opuścił ją na kolana.

Niedźwiedź oddalał się, nie zwalniając biegu; pan Michał nieruchomy patrzył w ślad za nim.

Nagle poczuł jakieś niepokonane znużenie w całem ciele, jakieś straszne zmęczenie, siedział też, nie poruszając się wcale, nie myśląc o niczem i widocznie, obojętnym był na wszystko, co się stało.

Machinalnie i bez zajęcia patrzył na galopującego niedźwiedzia; nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że go prawie nie widział.

Niedźwiedź uchodził coraz dalej; pan Michał zaczął w roztargnieniu oglądać się na wszystkie strony...

Pragnąłby tylko jednego — odpocząć. Gdyby można się było położyć w śniegu i zasnąć, toby mu taką ulgę sprawiło!

— Znowu poszedł, przeklęta bestya! — dał się słyszeć głos tuż koło niego.

Spojrzał. Bez czapki, z rozczochranymi włosami, cały zlany potem, podbiegł do niego Sas; widocznie spieszył się, ile mu sił starczyło.

— Gdzieś pan walił?... W łeb?

— W piersi.

— Jak stanął, aż mnie strach zebrał... A nie zwalił się, szelma — mówił dalej Sas i nagle, spojrzawszy na twarz pana Michała, zamilkł.

Pan Michał siedział ciągle nieruchomo i tylko powoli przesuwał ręką po rozwianych zlekka włosach.

— Panie Michale! — zawołał na niego Sas po chwili.

— Co?... Co?...

— Napijesz się pan wódki?

— Wódki?

— Tak, napij się pan.

Pan Michał nie odpowiadał, jakby namyślając się.

Wypij pan, mój złoty... I ja także się napiję — powtórzył Sas, wyciągając z torby butelkę. — To panu dobrze zrobi — dodał jakimś szczególnym, troskliwym tonem.

— Wódki?... Daj! — rzekł pan Michał i wziąwszy butelkę, chciwie, nie odrywając jej od ust, zrobił jeden za drugim kilka tęgich haustów.

Wódka paliła go jak ogień. Drgnął i widocznie się ożywił.

— Poszedł — rzekł.

— I to wprost na Ostrówek... Jak uciął do samej wsi — roześmiał się głośno Sas, któremu na duszy z niewiadomej przyczyny zrobiło się i wesoło i śmiesznie.

— Jakto? Do Ostrówka? A ty wódki nie pijesz, stary?

— Ja? — Nie bójcie się, nie daruję! — odparł Sas jeszcze głośniej i jeszcze weselej. — Oto i nasi nadchodzą — przerwał sam sobie. — Trzeba i ich ugościć.

— A ty dlaczego nie strzelałeś drugi raz? — zaczął pan Józef; zauważywszy jednak znaki, dawane przez Sasa, umilkł w połowie frazesu.

— Wódki się napijecie? — zapytał Sas.

Pan Józef spojrzał na brata i zrozumiał wszystko.

— Wódki? — zapytał pan Józef. — A no dawajcie!

— Daj pan i mnie — rzekł Kunz, który także zrozumiał, o co rzecz idzie.

Obydwaj przyjaciele zajęli się wyłącznie wódką.

— Cóż, pójdziemy?

— Pójdziemy — odparł pan Michał.

Sas podał mu rękę. Opierając się na nim, pan Michał ciężko powstał.

Wszyscy powoli posunęli się do wsi.

*

Długi, zimowy wieczór trzeba było spędzić w Ostrówku. Niedźwiedź przeszedł obok samej wsi i jak przepowiedział Sas, zniknął w krzakach. Czy został w nich, czy też poszedł dalej — mniejsza o to, w każdym razie pogoni za nim nie można się było wyrzekać. Był ciężko ranny, a chociaż szedł galopem, to jednak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że siedziały w nim dwie kule. Napewno odnajdą go jutro żywego albo martwego.

Tak, nie było żadnych podstaw do zaniechania pogoni. Myśliwi postanowili przenocować w Ostrówku.

Nocleg nie obiecywał być wygodnym; zapasów żywności było jednak poddostatkiem, a prócz tego, nad wszelkie spodziewanie, znalazło się we wsi coś, co kiedyś było podobnem do samowara.

Myśliwi urządzili się jak mogli i czas skracali rozmową.

Ostrówek znajdował się w odległości około półtorej mili od miasta, skorzystali więc z tego.

Krzaki, w które wpadł niedźwiedź, były gęste i nieszczególnie wygodne do prześladowania zwierza. Sas zauważył, że para gończych nie zawadziłaby wcale.

— Żywego by go wzięły!

— Tak, *das wäre interessant*!

— Bez psów, człowiek się męczy niepotrzebnie... Ciągle myślisz, że już zaraz się pokaże, a ta bestya gdzieś o pół mili.

Pan Michał wątpił, czy pomoc gończych na co się przyda.

— Poszłoby gładziej — godzili się z Sasem pan Józef i Kunz, których zajęła nowość w polowaniu na niedźwiedzia.

— Nawet nie pójdą za nim.

— Wisła i Dunaj pójdą — twierdził pan Józef. — Idą na wilka, to pójdą i na niego.

— A za niemi i wszystkie — dodał Kunz.

— No nie... Jeżeli już mamy brać, to tylko parę — godził się pan Michał. Inne popsułyby tylko sprawę.

— Poszlę Jaśka... naprawdę poszlę — nastawał Sas, który wpadłszy na ten pomysł przypadkowo, uchwycił go się jednak jak tonący chwyta się brzytwy, aczkolwiek sam początkowo nie wielkie do niego przykładał znaczenie. — Do miasta blisko... Jeszcze nim się spać położymy, Jaśko może już być z powrotem.

Pan Michał przyszedł już zupełnie do siebie po przebytem wrażeniu, jakie na nim wywarło ostatnie spotkanie z niedźwiedziem; resztki tego wrażenia dawały się czuć jeszcze nietylko w ustroju jego myśli, ale całego towarzystwa i pomimo wszystkiego mimowoli wydawało się im, że z psami jednak będzie lepiej.

— Naprawdę, poszlę — powtarzał Sas i jakby odpowiadając na ogólną myśl, dodał: — Z psem zawsze poręczniej w krzakach można się niespodziewanie natknąć na bestyę i może być bieda...

Pan Michał dał się nareszcie namówić i w chwilę potem Jaśko parą tęgich koni gnał do miasta po Wisłę i Dunaja.

Godzina za godziną upływały powoli, ale na udanie się na spoczynek było jeszcze zawcześnie. Pomimo znużenia o śnie nie mogło być mowy, a zresztą i pościel nie bardzo wabiła ku sobie,

Świeczka łojowa nie zbyt jasno oświetlała kącik, w którym przy wielkim stole pomieściło się nasze towarzystwo, ale było jakoś ciepło i nawet zacisznie, przyjemnie.

Rozmowa, która się urywała co chwila, kręciła się dokoła wypadków dnia i przypuszczeń co do dalszego ciągu gonitwy.

— Tak bywa, rozmaicie bywa — powoli, rozważnie, widocznie odpowiadając na swoją własną myśl, wymówił pan Michał, nalewając sobie szklankę i stawiając ją przed sobą.

Inni spojrzeli na niego badawczo.

— To mi się już po raz drugi zdarza — ciągnął dalej; obrzuciwszy ich z kolei spojrzeniem.

— Przestraszyłeś się? — zapytał pan Józef.

— Jakby ci to powiedzieć... Właściwie mówiąc, nie... Teraz daleko mi straszniej, niż wtedy było. Nie oczekiwałem go z tej strony. Czekam na niego z przodu, a on nagle staje za mną z tyłu...

— Co tu gadać — dorzucił Sas — zobaczyłem to zdaleka i włosy mi na łbie dębem stanęły.

— Stoi i przygląda mi się — ciągnął dalej pan Michał, uśmiechając się lekko.

— Ciekawość go zebrała — dorzucił żartobliwie Sas.

— A jak tylko spojrzałem na niego, najeżył się.

— Z oczu zatem poznał, jakiego ma przed sobą przyjaciela — przerwał mu znowu Sas.

Wszyscy się uśmiechnęli.

— Napewno — ciągnął dalej niezmieszany leśniczy. — Czy to pierwsza rzecz... Co tu daleko szukać, ot jarząbek, i ten się wzroku boi... Kiedy się idzie na niego, przytuli się do drzewa, patrzy na człowieka, a nie leci, nie zrywa się... Szukasz go i szukasz, siedzi szelma ani się ruszy, a jak tylko na niego spojrzysz, spotkasz się z nim wzrokiem, oho! świńsnie jak strzała przed oczyma.

— Tak — zaczął po chwili pan Michał — drugi raz i oba razy w czystem polu.

— A w czystem, panie Michale, straszniej!..

— W czystem? — zapytał Kunz, jakby z powątpiewaniem.

— A tak, w czystem polu daleko gorzej, — obstawał przy swojem Sas — może dlatego, że to niezwykłe, może dlaczego innego, ale zawsze straszniej.

— A może to i prawda — poparł go pan Michał.

— A cóż — ciągnął dalej ośmielony tem poparciem leśniczy. — Przecież naprzykład i niedźwiedzica straszniejsza od niedźwiedzia.

— No, to już żarty!

— Nie, nie żarty. Ja zawsze powiem, że straszniejsza.

— A dlaczego?

— Dajże pan pokój. Straszniejsza i koniec. Nazywa się przecież także straszniej...

— Co?... Co takiego?

— A bo — Sas widocznie się zafrasował. — No, cóż to takiego niedźwiedź? Niedźwiedź i więcej nic, a to niedź-wie-dzi-ca!

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Jak Boga kocham, straszniejsza — zaklinał się Sas, czując sam, że jego dowód się nie udał.

— Ech, stary, stary — przerwał mu pan Michał — zasypałeś się... Chcesz wódki?

— Kieliszeczek można.

— Wiesz co, Michasiu — zaczął po chwili pan Józef uśmiechając się i jakby jąkając.

— Co?

— A i mojem zdaniem niedźwiedzica jest straszniejszą od niedźwiedzia.

— Naturalnie.

— Jakoś straszniej wygląda.

— Prawda, prawda — podchwycił Sas — są między niemi wściekłe bestye.

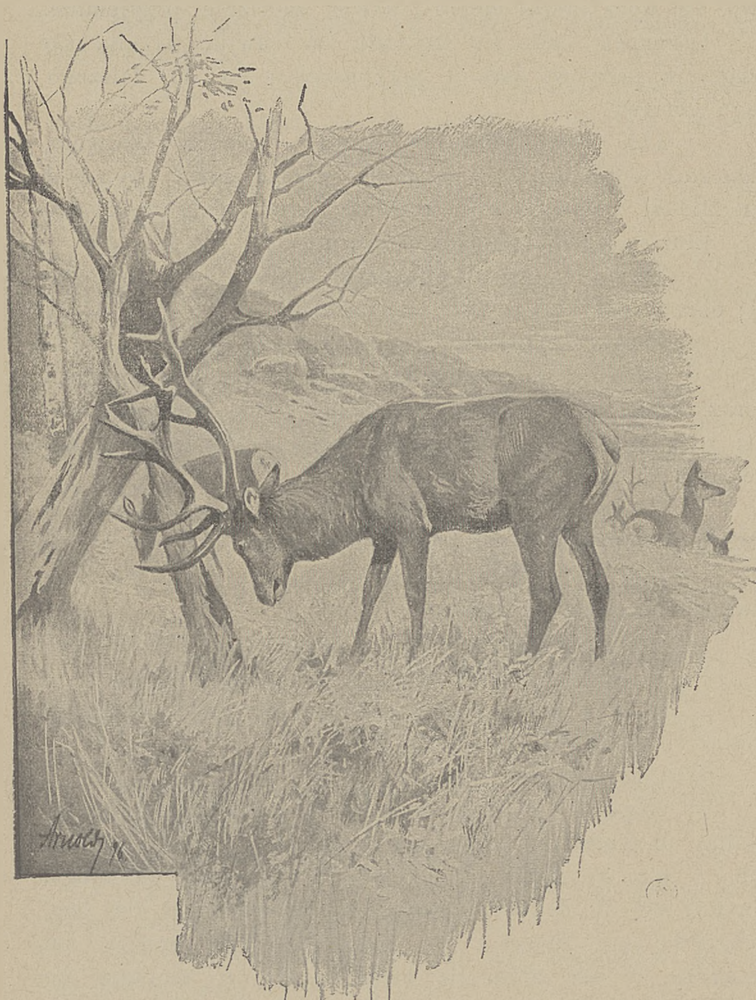
— A niedźwiedzie według ciebie lepsze?

— Jakoś lepsze.

— Na jakiego trafisz.

— No, chociażby ten wasz dzisiejszy.. Stoi i przygląda się... Nie widział jeszcze nigdy jakiegoś tam pana Michała, który łazi po świecie i strzela.

Wszyscy roześmiali się znowu. (c. d. n.)



Jeleń „WAPITI.“

Na rykowisku.

Ryk!....
I zadrżał bór,
I zadrżał zwór!....
W odmęcie spłonionych drzew
Niezwykły rozległ się śpiew...
Zadrżały liście i mgły,
Nawet powietrze drży...
Tak, to jest krzyk
Miłości,
Co prosi do się w gości —
Potężny, wielki, dziki...
Wydał go lasów pan,
Który zaprasza w tan,
Dziwne wydając ryki,
Że aż drży bór,
Drży zwór,
Drży liść i mgła,
Nawet starego pnia
Spróchniałe drżą korzenie —
I wszędzie czuć to drżenie,
Ten krzyk,
Ten ryk!...

II.

I oto z lasów dokoła
Ciekawe wyjrzały oczy....
Ciekawe, kto tam tak woła,
Tak śmiało wśród lasu kroczy,
Miłości chcąc złożyć dań...
A zda się pęka mu łono,
Tak ryczy, krzyczy i grzmi...
To on! Ten piękny, z koroną
Rogów potężnych u czoła
Idzie i staje i woła.
By która z wysmukłych łań
Ofiarę złożyła krwi!...
Och, bo ten miłości śpiew —
To rozkosz, ból i... krew!

III.

Cisza.... Lecz oto gdzieś zdaleka
Dochodzi groźny ryk, a dziki,
Pan lasów stanął, zamilkł. czeka..
To echo może jego ryki
Powtarza w mgle?...
Ryknął.... i echo wnet po lesie
Miłosnych wezwań dźwięki niesie....
Pan lasów słucha upojony,
Że takie piękne ciska tony:
„Jam pan! Ja chcę!“

I w swoje dźwięki zasłuchany
Drgnął nagle... Tam, tam rywal ryczy,
Miłosne chcąc rozpocząć tany!...
„O ty! Z piekielnej puszczon smyczy,
„Precz! Ustąp się!“

IV.

Ryknął.... i wściekłość bucha
Z ócz mu,
Nienawiść głucha
Nie daje tchu,
Z nozdrzy buchają płomienie,
Gubiąc się w mgle,
Racica zaryć się chce
Gdzieś w ziemi głąb,
Bo tam, gdzie lasu zrąb,
Tam stanął rywal i woła:
„Jam tobie równy w cenie!
„Chociaż mniej odnóg u czoła,
„Piękniejszą moja korona!
„I perły piękniejsze na niej!
„Ja tę przycisnę do łona,
„Której tyś ryknął: „Jam twój!“
„Nie, nie dopadniesz tej łani,
„Która łzawemi oczami
„Bada nas skrycie!
„Niechaj pomiędzy nami
„Rozstrzyga wściekły,
„Na śmierć i życie
„Zaciekły
„Bój!“

V.

Z rykiem obaj już ruszyli,
Krwi silniejszy w żyłach prąd,
Każdy pewność ma w tej chwili,
Że zwycięzcą wyjdzie stąd!
Dumnie każdy wstrząsa rogiem,
Z ócz tryskają snopy skier,
Jakby leśnym był półbogiem,
Z podniebiańskich zeszłym sfer!
Mkną ku sobie coraz chyżej,
Że aż ziemia z jękiem drga,
Wnet odejmą rogi z krzyży,
Krwawa się rozpocznie gra!

VI.

Łań smukłych łzawe oczęta
Mknących ścigają ciekawie,
Czem walka raz rozpoczęta
Skończy się, kto legnie w trawie,
Albo też z głową zwieszoną
Smutnie potrząśnie koroną
I zniknie w lasu otchłani....
U każdej jedno pragnienie:
Chciałaby pierwszą być w rzędzie,
Gdy rycerz, pędząc szalenie
Po walce w dzikim rozpędzie
Na łanie zwróci swe oczy,
Doleci, stanie, doskoczy —
I miłość przyniesie w dani...
Więc jedna drugą odpycha,
Chce stanąć na czele stada, —
I wabi zlekka i zcicha,
Zachętę w te tony wkłada:
Niech walczą, szybko bój wiodą,
Zwycięzcy będą nagrodą:
Pieszczoty nadobnej łani!

VII.

Pędzą.... I lada chwila
Wpadną na siebie rywale!
Nagle stanęli... przykuci
Do ziemi, co się rozpyla,
Gwałtownie zryta racicą.
Choć krew im w żyłach się pieni,
W miłosnym szale
Patrzą na siebie zdumieni..
Na chwilę przygasły chuci,
Choć oczy złowrogo świecą...
Wtem z boku
Doleciał krótki — pieszczotą,
Miłością tchnący krzyk
Łani.
Zziajani
Ocknęli się — i oto
W powolnym kroku,
Jak zwykle w ciężkiej potrzebie,
Ruszyli obaj na siebie,
Bojowy wydając ryk!
Więc dano walki hasło!
Do ziemi łeb! Róg w dół!
Natarli! Huknęło, trzasło,
I grzmi,
Jakby im pękły na pół
Ich łby!
Każdy się w ziemię wrył...
To, co się zdało zgubą,
Było jedynie próbą,
Ich sił...
Ryk znowu... Znów natarcie...
Róg w róg uderzył i zażarcie
Wali i bije w przeciwnika,
Wściekły, że opór napotyka,
Och, bo tym rogiem onby chciał
Zgruchotać wroga kości,
Zwalić odrazu groźny wał,
Co drogę mu zagradza
Do pieszczot i miłości,
Których tak wielka władza!
Ryk jeszcze!...
Rogi się splotły i zrosły,

Jak gdyby całość tworzyły...
To już ostatki są siły....
Cielskami wstrząsają dreszcze
Prędkiego końca posły.
Znów trzasło... ryk...
Róg przeparł róg!
Z całym naporem nóg
Rywal rywala pcha,
Znów tęskny krzyk —
To łania do walki zachęca...
Krew żywiej gra —
I oto rywal już skręca,
Łeb wydarł z rogów i dyszy
I sunie w ponurej ciszy
W las...
To starość sunie pobita,
Młodości raj zakwita,
Na miłość... czas!

VIII.

Zwycięzca pędzi do łani,
Duma z postawy mu bije,
I zgrabnie wygiąwszy szyję,
Ginie w rozkoszy otchłani,
Miłosny rozpoczyna tan,
Bo teraz on król, on pan!
A tamten, pokonany,
Z bólem palącym w piersi starej,
Powoli sunie między jary,
A ból z piekącej rany,
Zadanej rogiem rywala,
Serce mu szarpie, rozwala...
Pada....
Chrapliwy wydaje ton:
Boleści krzyk —
I ryk...
Biada!
To... zgon!

Antoni Jastrzębiec.

KORESPONDENCYE.

Brody 29 września 1897.

W tym roku mało polowałem na błotach, bo starość nie radość! Nadto wielkie upały czyniły polowanie prawie niemożliwem, a już najwięcej przeszkadzały te ślepaki, (muchy końskie), które strasznie cięły konie. Takich roi much jak żyję nie pamiętam. Zabiliśmy jednakże z kilkadziesiąt kuropatw, których dużo się u nas pokazało. Tak ze sześć-siedm stad na dzień się rusza. W prawdzie nie wiele im można co zrobić, bo jest to rodzaj kuropatw, które nazywają tu kamionkami, i zwykle trzymają się zrębu i to gęstego tak że ledwie jedną lub dwie można urwać ze stada.

Możnaby je dobrze wziąć tylko wtedy, gdyby się na nie polowało z naganką, ale to nastąpi wtedy, jak słonki przyjdą. Mówią, że już słonki przyszły, ale zdaje się, że to straż przednia. Za parę dni popróbuję. Teraz i tak co dnia z rana przeszukuję w ogrodzie, ale jeszcze żadnej nie widziałem.

W sobotę popołudniu wybrałem się z moim wiernym i kochanym towarzyszem na kuropatwy. Już przeszukaliśmy z parę kilometrów zrębu, gdy wtem pod pagórkiem od granicy Wołynia pies coś bardzo zaczął węszyć. Nagle wyskakuje na 20 kroków rogacz z ładnymi rogami. Zabiłem go. Podchodzę do wózka, żeby posłać po niego chłopaka, który stał na owsianej ścierni aż tu porywa się stado kuropatw i zaraz siada. Zaszliśmy zrębem od granicy, pies ładnie do nich stanął. Zabiliśmy cztery tylko, bo słońce zaszło i przeszkodziło nam dalszej pogoni. Mnie się zdaje, że kuropatwa kamionka niczem się nie różni od zwykłej kury, chociaż mówią, że jest mniejsza i ciemniejsza od zwykłej. Mnie się zdaje, że co roku mniej jest dubeltów. Największa ilość, która w tym roku w jednym dniu padła, było 14-cie. Cóż to w porównaniu z przeszłemi latami, gdzie w pięć godzin z p. B. Horodyńskim zabiliśmy 97 dubeltów, albo z hrabią Leopoldem Starzeńskim na Bondurach 60 i to w deszcz, albo z rotmistrzem Piechowskim na Szmyrowie za dwa dni, z jednym psem, równo sto. Takie to bywały czasy, wtedy warto było nie żałować nóg ani swoich ani końskich i na ślepaki nie uważało się. Zapewne osuszanie błót wpływa na brak dubeltów. Przecież w Niemczech nie znają już błotnego polowania. Czasem jakiś krzyk znajdzie się nad kanałem i gdy mi się raz w Saksonii udało takiego zabić, to się bardzo nim ucieszyłem, a Umiński i inni zazdrościli mi, bo to tak, jakby tu u nas zabić srebrnego bażanta, albo pardwę-dropika, a w kniei rysia.

Ot wspomniałem o rysiu, to i o kniei trzeba pogawędzić. W tym roku pokazuje się dość zajęcy; jednego dnia polując na kuropatwy mogłem kilkanaście zabić, ale to się dopiero pokaże zimą czy ich jest dużo; nigdy w jesieni wymiaru brać nie można, bo tam gdzie dużo było, to i dużo będzie. Są i tu w Brodczyźnie ulubione miejsca zajęcze, gdzie kilkadziesiąt zajęcy pada dziennie i na jednem stanowisku można pięć-sześć zajęcy zabić. Lasy tu są ślicznie prowadzone, a jak słyszałem leśniczym teraz ostro wzbroniono samym polować, to i zwierzostan się poprawi i polowania mogą być tak dobre jak w Łopatynie. W Kontach młody pan Gniewosz jest zawołanym gospodarzem i leśnikiem. Mówi, że mu sarny robią wielkie szkody w kulturze i chce brać pozwolenie z Namiestnictwa na wybicie sarn! Myślę, że tak źle nie będzie i chociaż się na nie pogniewa trochę, da im spokój i tak jak za ojca będzie je karmił i pielęgnował. Prawda, że szkody mogą robić, bo jest ich dużo. Również zajęcy i cietrzewi jest dużo. Przepiórek w tym roku było mało, chruścieli więcej.

Wczoraj byłem na błotach Szmyrowskich, ale zupełnie puste. Myślałem, że zastanę Michałki. Ani jednego długodzióba; raz strzeliłem do chruściela i to młodego, a pies przyaportował całe błoto.

M. hr. Tyszkiewicz.

Podkamień 16 września 1897.

(Rozmnoża kuropatw, zajęcy i bażantów.)

Podniesiona na ostatniem walnem zebraniu galicyjskiego Tow. łowieckiego myśl dotycząca rozmnoży kuropatw w naszym kraju jest godną ze wszech miar poparcia. Zdaje mi się bowiem, że to byłaby na teraz sprawa najbardziej dodatnia i prawdziwie pożyteczna, która gdyby się nią Wydział zajął z całą energią, najpewniejsze krajowemu łowiectwu przyniosłaby skutki. Najwybitniejszą rolę mogliby w tym względzie z pewnością odegrać delegaci w swoich powiatach, namawiając właścicieli obszarów łowieckich do jak najliczniejszych obstalunków. — Nikomu przecież z naszych właścicieli większych myśliwskich obszarów tak wielkiej nie zrobi różnicy to zamówienie kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu par kuropatw na wiosnę, z których, po możliwem ich rozmnożeniu, taka ich w jesieni radość czeka.

I gdyby się to stało w każdym powiecie naszej wschodniej Galicyi zatracony ród kuropatw pojawiłby się na nowo.

Niech nam za wzór posłuży Tow. św. Huberta, które przez sprowadzenie w zeszłym roku kuropatw na własną rękę do bardzo świetnego doszło rezultatu. Na jednym roku tej wspólnej akcyi z pewnością ograniczać nie można, ale z pewnością ci, co w pierwszym na tę stosunkowo nie wielką ofiarę się zdobędą widząc już w pierwszym roku jej wynik dodatni, nie omieszkają z pewnością na rok przyszły podwoić swych obstalunków. Wtedy kuropatwy staną się znów stałą zwierzyną naszego kraju, tak jak się stały na tej drodze tylko zwierzyną tak obfitą w Poznańskiem i w Królestwie. Rozmnożenie u nas bażantów w dzikim stanie też nie tak wielkim podlegałoby trudnościom, gdyby się i nad tym chowem pewna rozciągnęła opieka. Do tegoby potrzeba tylko dobrych chęci posiadaczy w każdym powiecie większych łowieckich obszarów. A więc tu znów wspólnej akcyi potrzeba, bo wszelkie odrębne wysiłki jednostek, do niczego nie doprowadzą.. Otóż tu znowu działalność dla delegatów Towarzystwa Łowieckiego. I w tym kierunku wielkieby mogli przynieść pożytek krajowemu myśliwstwu, gdyby i na ten chów zwierzyny zwrócili uwagę posiadaczy łowieckich obszarów w swoich powiatach i ich do hodowli bażantów zachęcili. A teraz jeszcze jedno zachodzi pytanie. Czy w okolicach, w których zajęczy zwierzostan jest słaby, nie możnaby go też na tej samej drodze polepszyć? Czyżby Wydział Tow. Łowieckiego i w tym względzie nie zaopiekował się upadającym w wielu okolicach zwierzostanem i w zamówieniach odpowiedniej ilości zajęcy z Czech, Szląska lub Morawy pośredniczyćby nie chciał? Przekonany jestem, iż zamówieńby nie brakło, byle warunki dostawy na wiosnę, były zapewnione. Wiem, że wielkie ilości tej zwierzyny rozchodzą się w różne strony w handlowych celach, czyż byśmy nie mogli z tego skorzystać dla naszego zwierzostanu? Może się w tym kierunku jakieś głosy odezwą.

Leopold hr. Starzeński.

SPRAWOZDANIA DELEGATÓW.

Olejów, w pow. złoczowskim 20. września.

Majątek Olejów, obszar 7000 morgów, własność hr. Wodzickich. W rewirach lasów olejowskich, których właściciel jest sam myśliwym, znajdują się sarny, zające i lisy a podczas ciągów słonki. Polowania odbywają się raz do roku w każdym rewirze. W zimie zwierzynie podaje się karmę. Kłusowników jest dużo, ale starostwo ich tępi, i wszystkie sprawy dotyczące łowiectwa bardzo energicznie załatwia.

Majątek Nuszcze, 2000 morgów, właściciel p. Klemens Weissmann, myśliwy. W lasach sarny, zające, lisy i słonki W zimie podają zwierzynie karmę. Polowanie odbywa się raz do roku i jest zawsze najładniejszem w całej okolicy.

Majątek Kołtów, 6000 morgów, właściciel Wacław hr. Baworowski. Ponieważ właściciel sam myśliwym nie jest, przeto polowań nie urządza; polują tylko na kuchnię. W lasach są sarny, zające i słonki.

Majątek Pieniaki i Założce, 13000 morgów, wł. hr. Włodzimierz Dzieduszycki, myśliwy. W lasach znajdują się sarny, zające i słonki. Polowań nie ma, tylko straż leśna poluje na kuchnię. Zwierzyny w zimie nie żywią. Kłusownictwo kwitnie w najlepsze.

Majątek Kruhów, 1000 morgów, właściciel p. Narajewski; w lasach: sarny, zające i słonki. Ponieważ sam właściciel myśliwym nie jest, przeto polowania się nie odbywają, tylko pobereżnicy z psami polują.

Majątek Łukawiec, 2000 morgów, właściciel p. Udrycki, który niedawno nabył majątek, więc jeszcze nie można powiedzieć, jak zajmie się u siebie sprawami łowiectwa.

Wodzicki.

Kronika.

Rezultat łowów carskich w leśnictwach lubocheńskiem i radzickiem, w Królestwie Polskiem, odbytych w dniach od 19 do 30 września włącznie 1897, przedstawia się jak następuje:

Dnia 19 września: w rewirze Zielona 1 jeleń o 14 odnogach, 1 jeleń o 12 odnogach 4 kozły, 1 zając, 2 słonki, 1 cietrzew; w rewirze Cebłowice 1 jeleń o 12 odnogach, 1 jeleń o 10 odnogach, 2 kozły, 1 zając — razem sztuk zwierzyny 12, ptaków 3.

Dnia 20 września: w rewirze Koniówka 1 jeleń o 12 odnogach; w rewirze Tresta 1 jeleń o 16 odnogach; w rewirze Sługowice 2 jelenie o 12 odnogach; w rewirze Piła 1 jeleń o 8 odnogach; w rewirze Zwierzyniec 3 jelenie o 10 odnogach, 1 jeleń o 8 odnogach, 1 jeleń o 4 odnogach, 1 koza, 8 odyńców, 8 wycinków, 13 macior, 6 warchlaków, 1 słonka — razem sztuk zwierzyny 46, ptaków 1.

Dnia 21 września: w rewirze Giełzów 1 jeleń o 16 odnogach; w rewirze Demba 1 jeleń o 8 odnogach, 1 kozioł, 1 wycinek; w rewirze Bielawy 1 kozioł. 1 koza, 1 odyniec, 3 lisy, 1 kuropatwa, 1 cietrzew, 1 drapieżnik; w rewirze Wiśniowiec 1 jeleń o 12 odnogach, 1 jeleń o 10 odnogach, 3 kozły, 2 zające, 1 cietrzew — razem sztuk zwierzyny 17, ptaków 4.

Dnia 22 września: w rewirze Szczurek 1 jeleń o 18 odnogach, 1 jeleń o 12 odnogach; w rewirze Koniówka 2 jelenie o 14 odnogach, 1 jeleń o 12 odnogach; w rewirze Jelenia Góra 1 jeleń o 18 odnogach, 1 kozioł; w rewirze Sługowice 1 jeleń o 12 odnogach, 2 jelenie o 10 odnogach; w rewirze Brudzewice 4 kozły, 1 wycinek, 2 maciory, 3 warchlaki, 3 zające — razem sztuk zwierzyny 23.

Dnia 23 września: w rewirze Kruszowiec 2 jelenie o 16 odnogach, 2 jelenie o 12 odnogach, 2 jelenie o 10 odnogach, 7 kozłów, 1 wycinek, 2 zające, 1 słonka; w rewirze Brudzewice 1 kozioł; w rewirze Sługowice-Bugaj 1 jeleń o 12 odnogach, 1 jeleń o 10 odnogach — razem sztuk zwierzyny 19, ptaków 1.

Dnia 24 września: w rewirze Chrzemce 1 jeleń o 12 odnogach, 1 jeleń o 10 odnogach, 1 kozioł; w rewirze Cygan 4 jelenie o 12 odnogach, 1 jeleń o 10 odnogach, 1 kozioł, 1 wycinek, 2 maciory, 2 lisy, 5 zajęcy; w rewirze Błogie 1 jeleń

o 12 odnogach, 2 jelenie o 10 odnogach, 1 jeleń o 8 odnogach — razem sztuk zwierzyny 23.

Dnia 25 września: w rewirze Szczurek-Potok 1 jeleń o 14 odnogach, 1 jeleń o 12 odnogach; w rewirze Giełzów 1 jeleń o 8 odnogach; w rewirze Taraska 1 jeleń o 20 odnogach; w rewirze Bielawy 1 jeleń o 14 odnogach; w rewirze Wiśniowiec 1 jeleń o 18 odnogach, 2 jelenie o 12 odnogach; w rewirze Demba 1 jeleń o 14 odnogach; w rewirze Brudzewice 1 jeleń o 14 odnogach, 1 kozioł; w rewirze Rzekietka 1 jeleń o 14 odnogach, 2 jelenie o 10 odnogach, 3 kozły, 2 zające; w rewirze Czołna 2 jelenie o 14 odnogach, 2 jelenie o 12 odnogach, 1 szpiczak, 6 kozłów, 1 warchlak — razem sztuk zwierzyny 31.

Dnia 26 września: w rewirze Zielona 1 jeleń o 10 odnogach, 3 kozły, 1 zając — razem sztuk zwierzyny 5

Dnia 27 września: w rewirze Sługowice 3 jelenie, o 12 odnogach, 1 jeleń o 10 odnogach 1 jeleń o 8 odnogach, 3 kozły, 1 lis 1 zając, 1 jarząbek; w rewirze Giełzów 3 jelenie o 12 odnogach, 1 łania razem sztuk zwierzyny 14, ptaków 1.

Dnia 28 września: w rewirze Szczurek 1 jeleń o 12 odnogach; w rewirze Gacona 2 jelenie o 10 odnogach, 5 kozłów, 1 zając; w rewirze Żądłowice 1 kozioł, 1 wycinek, 1 maciora, 4 lisy, 1 zając, w rewirze Sługowice 1 jeleń o 12 odnogach; w rewirze Zarzęcin 1 jeleń o 12 odnogach, 2 jelenie o 10 odnogach — razem sztuk zwierzyny 21.

Dnia 29 września: w rewirze Sługowice 2 jelenie o 10 odnogach, 1 kozioł; w rewirze Piła 2 kozły, 4 zające; w rewirze Sługowice 1 jeleń o 14 odnogach, 1 jeleń o 12 odnogach — razem sztuk zwierzyny 11.

Dnia 30 września: w rewirze Szczurek 1 jeleń o 14 odnogach, 1 jeleń o 12 odnogach, 1 jeleń o 10 odnogach; w rewirze Koniówka 1 jeleń o 16 odnogach; w rewirze Piła 1 jeleń o 14 odnogach; w rewirze Giełzów 1 jeleń o 14 odnogach, 2 jelenie o 12 odnogach, 2 jelenie o 10 odnogach, 1 jeleń o 8 odnogach, 1 jeleń o 6 odnogach, 1 szpiczak, 1 zając; w rewirze Gebłowice 1 jeleń o 12 odnogach, 3 kozły, 2 zające — razem zwierzyny sztuk 20.

Ogółem zatem zabito:

Jeleni: na zasiadkę: 1 jeleń o 20 odnogach, 3 jelenie o 18 odnogach, 3 jelenie o 16 odnogach, 9 jeleni o 14 odnogach, 19 jeleni o 12 odnogach, 8 jeleni o 10 odnogach, 3 jelenie o 8 odnogach; na obławie: 2 jelenie o 16 odnogach, 5 jeleni o 14 odnogach, 18 jeleni o 12 odnogach, 19 jeleni o 10 odnogach, 4 jelenie o 8 odnogach, 1 jelenia o 6 odnogach, 1 jelenia o 4 odnogach, 2 szpiczaki, 1 łanię razem jeleni 99.

Sarn: na zasiadkę 3 rogacze, na obławie 50 rogaczy i 2 kozy — razem sarn 54.

Dzików: na obławie 9 odyńców, 14 wycinków, 18 macior, 10 warchlaków — razem dzików 52

Lisów: 10. *Zajęcy*: 27. *Kuropatwa*: 1. *Słonek*: 4. *Jarząbek*: 1. *Cietrzewi*: 3. *Drapieżnik*: 1.

Zauważyć należy, iż z powodu lichego stanu *danieli* w tym roku nie strzelano do nich wcale.

Ogółem ubito 251 sztuk, w tem 241 zwierzyny i 10 ptaków.

Delegatem na powiat przemyski został mianowany pan Aleksander Przedrzymirski w Sierakowcach poczta Niżankowice, p. Władysław Jankowski w Podhajcach na powiat podhajecki i p. Zygmunt Rudnicki c. k. komisarz powiatowy w Żydaczowie na powiat żydaczowski. Podając w numerze 2-gim Łowca spis delegatów opuściliśmy wskutek pomyłki drukarskiej wśród delegatów powiatu brodzkiego nazwisko hr. Leopolda Starzeńskiego, który również na powiat brodzki delegatem został mianowany. Omyłkę tę dziś prostujemy.

Od wydziału Towarzystwa.

Wydział galicyjsk. Towarzystwa łowieckiego uprasza Pp. delegatów, aby zechcieli zawiadomić, czy nastąpił podział terytoryalny powiatów i jakie terytorya pp. delegatom zostały przydzielone.

Również uprasza Wydział pp. delegatów o łaskawe nadsyłanie sprawozdań. Tym Pp. delegatom, którzy wykazów już nie posiadają, druki te na żądanie natychmiast zostaną wysłane.

Odznaki dla członków i delegatów w każdym powiecie przesłane będą na ręce jednego z delegatów, u którego będą do nabycia.

Od Redakcyi.

Z dniem 1. listopada biura redakcyi i administracyi „Łowca“ przeniesione zostaną na plac Chorążczyzny (Wacława Dąbrowskiego) l. 1. Pod tym więc adresem należy przesyłać wszelkie listy i pisma tak do Wydziału galicyjskiego Tow. łowieckiego jakoteż do redakcyi i administracyi „Łowca“.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.